ROK TRZECI.

№ 50.

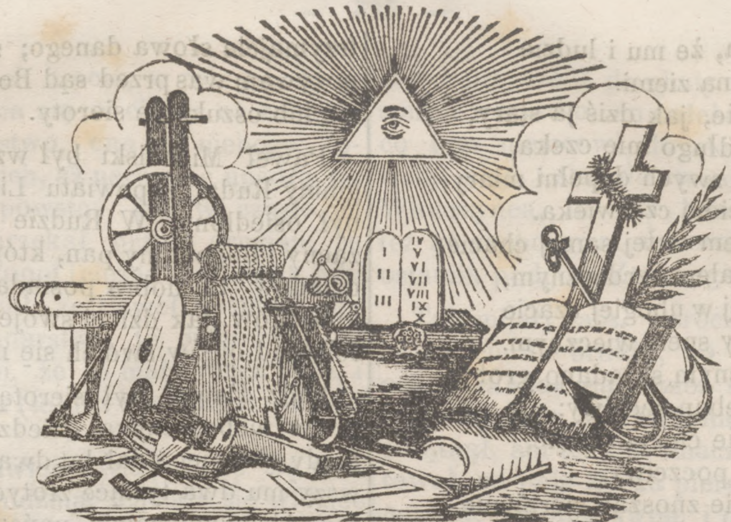
Warszawa

Dnia 30 listopada (12 grudnia)

1858.

Niedziela

3cia Adwentu.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45 miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rs. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo)..

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię Panie, udziel miłosiernego posłuchania modlitwom naszym, a ciemnoty umysłu naszego przez nawiedzenie Twej łaski racz oświecić. (Kollekta na niedzielę 3cią Adwentu).

Praca.

—

Raz stary Maciej w porze jesiennej
Wróciwszy wieczór do chatki,
Spoczywał po swej pracy codziennej
W gronie swej szczupłej czeladki;
A wierny zawsze Bogu i cnocie,
Skłonił swą głowę sędziwą,
I tak zacząwszy w ducha prostocie,
Prawił im mową poczciwą:
Siódmy mi krzyżyk lezie na barki,
Jak śnieg zbielały mi włosy,
A jednak dotąd rad ze swéj miarki,
Nigdym nie sarkał na losy.
Jeszczeć sam w pole prowadzę woły,
I w pracy nieraz zanucę,
I na klepisku mojej stodoły
Sam, Boży datek omłócę.
Wieleż to jednak na mojej roli
Padło łez krwawych i potu,
Wieleżem ciężkiéj przebył niedoli
I w życiu doznał kłopotu!
Nieraz mię Boże ramię dotknęło,
Grad wybił niejedno żniwo,
Ileż bydełka w pomór zginęło!
Śmierć wzięła żonę poczciwą;
Ja jednak widząc nieszczęścia swoje,
Chociaż na duchu strapiony,
Mówiłem: Panie! wziąłeś, bo Twoje,
W mej biedzie bądź pochwalony!
A kiedym znowu pracy pilnował
I nie złorzeczył za mękę,
Pan Bóg mnie chętnie z biedy ratował,
I w trudach podał swą rękę.
Niech was mój przykład w życiu zachęca,
A błoga dola was czeka,
Bo praca zbawia, praca uświęca,
Praca jest szczęściem człowieka.
Praca wam nieraz za rozkosz stanie;
Niedbajcie chociaż pot ciecze,
Bo Bóg nam takie dał przykazanie:
Pracuj i módl się człowiecze!
A ten, kto chętny i w zgodzie z Bogiem
Pracą swe troski odpędza,
Bóg mu anioła stawia nad progiem,
By nie dosięgła go nędza.
I on mu w jego pomaga trudzie,
Wspiera go siły swojemi,

A praca sprawia, że mu i ludzie
Niosą szacunek na ziemi.
I chętnie spocznie, jak dziś ja stary,
Choć śmierć niedługo mię czeka,
Bo w pracy dni swych dopełni miary,
A praca szczęściem człowieka.
W kilka lat potem w tej samej chacie,
Ze wszystkich żalem serdecznym,
Poczciwy Maciej w ubogiej szacie
Spoczął, uśpiony snem wiecznym.
A gdy go w ciasnym składano grobie,
Rzekł ze łzą pleban sędziwy:
Ziemia nie będzie ciężyła tobie,
Boś żył i umarł poczciwy;
I chętnie wszelkie znosząc cierpienie
Z poczciwą serca prostotą,
Spełniłeś tutaj swe przeznaczenie
Modlitwą, pracą i cnotą.
Dzisiaj spoczywasz w wiecznym pokoju,
W trudach znalazłszy osłodę,
Boś już na ziemi w pracy i znoju
Znalazł dla siebie nagrodę.
Niechaj twój przykład innych zachęca,
Jeden nas koniec tu czeka,
A praca zbawia, praca uświęca,
I w niebo wiedzie człowieka.

Lepsze czyste sumienie, niż największe mienie.

W mieście Płocku na rynku stali gotowi do podróży rekruci. Nieco daléj ojcowie ich i matki, niektórych zaś żony z dziećmi na ręku, skupili się w gromadkę, milcząc ponuro. Tu i owdzie kończyły się jeszcze pożegnania smutne, bo któż wiedzieć może, czy zdrów powróci z wojny, z drogi dalekiéj?

— Pawle! bywaj zdrów... wyrzekła z cichym jękiem młoda kobieta trzymająca dziecię na ręku, dziecię jedyne, bo rok dopiero była żoną tego, z którym rozłączać się miała.

Paweł zbliżył się do niéj; był blady, poważny, wydobywający ostatnie siły, żeby w tak ciężkiéj chwili zachować do końca odwagę. Raz jeszcze wyciągnął do żony ręce:

— Bywaj mi zdrowa! wyrzekł, i zwracając się do trzydziesto - kilkoletniego mężczyzny, który także był się przybliżył, dodał głosem dobitnym i uroczystym:

— A wy kumie! czuwajcie nad niemi, dotrzymajcie słowa danego; z tem słowem zapozywam was przed sąd Boski, jeżeli zdradzicie lub oszukacie sieroty.

Paweł Michalski był wzięty do wojska z gminy Ruda, z powiatu Lipnowskiego, gdzie był osiedlony. W Rudzie mieszkał dawniéj zacny i bogobojny pan, który z dziadów, pradziadów te dobra posiadał; to też kochał kmiotków, jak dzieci swoje rodzone, a tej miłości od ojców swoich się nauczył.

Otóż Paweł był sierotą więtym do usług przez nieboszczyka dziedzica, który zmarł, kiedy chłopiec miał lat dwadzieścia, zostawiwszy mu dwa tysiące złotych zapisu na wiosce. Ale synowcowie pańscy, co ponim Rudę wzięli, przedali ją za wielkie pieniądze jakiemuś niemieckiemu fabrykantowi i wszystko zaraz inaczej dziać się zaczęło. Płakalić dopiero włościanie starego pana, jak zobaczyli, że niemiec radby ich choć ze skóry obedrzeć, byle tylko sobie przysporzyć grosza. Biednemu Pawłowi zaczął się żywot ciężki, bo i swego zapisu długo odebrać nie mógł. Lecz że był silny i zręczny do każdej roboty, więc poszedł w służbę za parobka i w kilka lat ożeniwszy się z ubogą dziewczyną, zapis swój nareszcie odebrał i już zapoczął go na zaprowadzenie gospodarstwa, kiedy do wojska go wzięto. Że zaś żal mu było marnować inwentarza, jaki już kupił, a czuł, że żona jego słaba niezmiernie na zdrowiu, gospodarstwa nie utrzyma, przeto osadził ją na jednym półwłoczku ze swym dalekim krewnym, zdawna już ożenionym i mającym dzieci kilkoro. Znał on Filipa jako uczciwego i pracowitego człowieka i zaufał mu, że nie ukrzywdzi jego żony i córki, że się z niemi wiernie strawą codzienną i każdym zarobkiem podzieli. Z tą wiarą w sercu rozstał się z niemi.

Po wyjściu męża zaczęła zaraz mieszkać z braterstwem Pawłowa, pracując wraz z drugimi, lecz nie mogąc się ukoić w tęsknocie swojej. Biedna sieroto! szeptała nieraz do córeczki swojej, która ją rozumieć nie mogła, usiadłszy z nią wieczorem w kąciku po skończonéj robocie; ojciec daleko, a matka nie długo jeszcze dalej odejdzie od ciebie, cóż w tedy poczniesz niebożątko moje?

To przeczucie prędkiéj śmierci w krótce było usprawiedliwione, bo Pawłowa zaczęła

mocno kasłać, dech tracić, w robocie się opuszczać tak, że na nią w chacie narzekano, posądzając o lenistwo, ona zaś nieboga dobywała sił ostatnich, aż nareszcie upadła na łóżko, by już nie powstać. Już w czasie jéj choroby Filip narzekał przed drugimi, że ma z niej tylko kłopot i ciężar w domu, a gdy mu kto przypomniał, że Paweł zostawił mu *coś* pono na gospodarstwo, to on zbywał ich krótkiemi słowami, że to mała rzecz była, i że go już ta baba (to jest Pawłowa) daleko więcej kosztuje.

Tymczasem Pawłowa widząc, że się zbliża jéj ostatnia godzina, chciała się widzieć z Wawrzyńcem, starym gospodarzem, który był świadkiem układów jéj męża z Filipem; lecz Wawrzyńca we wsi na on czas nie było, gdyż go nowy dziedzic wysłał po jakieś machiny do miasta Gdańska. Żądała Pawłowa, żeby jéj sprowadzono innych, ale Filip pilnował starannie, aby nikogo do niej nie wpuszczano; prosiła o księdza, lecz zwłóczono to do ostatnjéj chwili, mówiąc, żeby sobie próżno głowy śmiercią nie nabijała, bo jeszcze długo żyć będzie.

— Czuję, że umrę, odpowiedziała Pawłowa — o moja biedna Zośka, co się z nią stanie!....

Zośka zaledwie wtedy czwarty rok zaczęła; matka ją przyciągnęła do siebie i podczas kiedy nikt ich nie słuchał, rzekła do niej:

— Pamiętaj córeczko, że tobie się połowa tego wszystkiego dobytku, co tu widzisz u Filipa, po ojcu należy, pamiętaj, żeby cię wyganiać ztąd chcieli, pamiętaj. Kaszel przerwał jéj mowę i długo potem milczeć musiała, lecz ile razy mogła, do samej śmierci powtarzała dziewczynce: pamiętaj, że twoja tu jest połowa.

Umarła nareszcie, mając przy sobie księdza, przed którym już wyspowiadać się sił nie miała. Filip sprawił jéj pogrzeb porządny, rozpowiadając każdemu, kto go tylko chciał słuchać, ile to go wszystko kosztowało. Zośka zaś chowała się pospołu z jego dziećmi i jakoś weszło w zwyczaj, że ją nazywano *sierotką*, a ztąd poszło, że zapomniano, iż ojciec zostawił jéj spusciznę, i miano ją za sierotę z łaski trzymaną w chałupie.

Dawniej, kiedy to jeszcze szlachcic, a swój i do tego z tak poczciwéj starej krwi siedział we dworze, byłoby to inaczej. Byłby zaraz sołtys przyszedł do chaty z pisarzem i byliby spisali wszystko, co należało do sieroty. Ale co tam niemcowi do polskiego ludu? Jak wziął słać i słać do swoich pruskich krajów Wawrzyńca, bo był bardzo roztropny, to też aż zachorował nieborak i umarł. Z nim ostatnia podpora Zośki zginęła.

Tak mijały lata, sierocie wprawdzie nigdy na niczem nie brakło, bo też i sumiennie zapracowała tak na odzież swoję i chleb, który spożywała. W chacie nikt tak dobrze nie uprzątnął, ani też tak smaczno strawy nie ugotował, na polu Zośka pierwsza zawsze była, a często zrobiła swoję i drugich robotę. Liczny też bywał robotnik na polach Filipa, bo ziemia dobrze uprawna obficie rodziła, więc do żniwa nie wystarczali domownicy i kilku zawsze najemników użyć trzeba było. W ich liczbie przychodziła zwykle Mikołajowa z synem, uboga wyrobnica, co żyła jedynie z letniego zarobku. Ona opowiadała często Zośce o zmarłej matce, a syn jéj Tomasz przynosił dziewczynie najpiękniejsze kwiaty i orzechy. Tymczasem Filipowi umarła żona, lecz gospodarstwo na tem nie ucierpiało, bo wszystkiemu dawała radę natenczas już dziewiętnastoletnia Zośka. Syn też już Filipa był ożeniony i dwie córki za mężami, zostało tylko w domu dwoje nieletnich dzieci, a Filip lubo liczył lat pięćdziesiąt zgórą, lecz że był dziarski i nic a nic nie posiwiały, pomyślał sobie, że mógłby się jeszcze drugi raz ożenić i rzucił okiem na Zosię, która pod jego dachem wyrosła. A jak raz patrzeć zaczął, to już i oczu oderwać nie mógł, tem bardziéj, że sobie wyrozumował, jako przez to ludzkiem gadaniom gębę zamknie, bo skoro Zośka będzie jego żoną, nikt już nie powie, że ją okradł z części po ojcu pozostałéj. Nie tracąc więc czasu, powiedział dziewczynie, co dla jéj szczęścia robić zamyśla, lecz Zośka mu wręcz odpowiedziała, że mu za to szczęście dziękuję.

— Wam moim ojcem być, ale nie mężem, dodała.

— Wielkie rzeczy, że ja tam trochę starszy od ciebie, ale za to bogaty, nie tak jak te chłystki parobczaki. Wszak to między państwem takie małżeństwo wcale nie dziwota.

— O! to co innego, rzekła na to Zośka,

— Wiem ja ci, wiem, na kogo to się tak oglądasz dziewczyno, ale z tego nic nie będzie.

— Będzie, co Bóg da, odpowiedziała Zośka.

— To cię to już tak Tomaszek zbuntował, a może myśli, że ty masz posag wielki; no, to mu powiedz, że bajki, bo nie masz grosza złamanego. Więcej wy mnie już kosztowały, niż Paweł dla was zostawił.

— Przeciez matula mi mówili, że....

— Zwyczajnie baba pletła w gorączce, fuknął na to gospodarz. Rób jak chcesz, ale ja ci powiadam, że nawet na obwinięcie palca nie wyniesiesz odemnie z chałupy.

Zośka zapłakawszy nad swą dolą, poszła rwać konopie, a po drodze spotkała Tomasza, który widząc ją zafrasowaną, zapytał o przyczynę smutku. Zośka wszystko opowiedziała.

— Nie płaczże mi, moja dziewczyno, poprosił jej pięknie Tomaszek; czyż to nie ma w Niebie Matki Przenajświętszéj, co się sierotami opiekuje?— nie sztuka to, żeby zaraz po ślubie siadać do gotowej miski. Kiedyśmy młodzi, zdrowi, jak się imiemy roboty, to piorunem pójdzie; weźmiemy ogród na dwa dni odrobku, matula pomoże coś w chacie, i będzie nam szło przy Bożéj pomocy.

Uśmiechnęła się Zośka wdzięcznie do Tomaszka i cała pokraśniała z radości, pobiegła do ogrodu rwać konopie, a nigdy jej jeszcze nie szło tak składnie i prędko.

Tymczasem Filip przy pomocy niemieckiego dziedzica, u którego w wielkich był łaskach, starał się dowiedzieć koniecznie, co się z Pawłem dzieje, lecz nic pewnego dowiedzieć się nie mógł; pocieszał się zatem, że już pewno nie żyje, i że mu nigdy nie przyjdzie wymówić krzywdy swego dziecka. Skoro więc Zośka w zapusty szła za mąż za Tomasza, nie tylko że jej wesela nie wyprawił, ale nawet nie dał zabrać ze swéj chaty chust i pościeli, które po matce miała.

— Czy nie boicie wy się skarania Boskiego? mówiła mu matka Tomasza.

— Za co mnie to ma Pan Bóg karać, odpowiedział jej gniewnie, czy jam jej sieroty nie wychował uczciwie, czym jej matki nie trzymał w chałupie, choć była do niczego?

— Pokaże się to jednak, jak Paweł wróci.

— Nic się nie pokaże, i Paweł nie wrócił, bo on dawno świętą ziemię gryzie, przerwał Filip.

— Czasem to z dopuszczenia bożego i umarli wracają dla pohańbienia złości ludzkiej.

— Tak, tak babskie gadanie, odrzekł Filip, udając zucha, lecz mu mrowie po kościach przeszło.

Tymczasem na ubożuchne gospodarstwo Tomasza i Zośki wejrzał łaskawie dobrotliwy Ojciec w niebiesiech, bo: i *dostatki za nic* i *rozum za nic bez łaski Pana*, mówi pismo święte, a łaska ta leje się zawsze obficie na dusze proste, co miłują i wierzą. Kilka lat życia przeszło im lekko w pracy i szczęściu, bo nie myślcie czytelnicy, że ci najszczęśliwsi, co nic nie robią. Owszem praca umiarkowana, a ciągła i wytrwała, to anioł stróż, co chroni od grzechu i pod swą czujną strażą do Boga prowadzi. Choć więc nie było komu ująć się za Zośką, bo nawet proboszcz był już inny we wsi, choć nic nie wniosła do wspólnego gospodarstwa, a Tomasz miał tylko krówkę jedyną, to przecież po kilku latach wytrwałej pracy w zgodzie i miłości, z tej krówki dochowali się dwóch jałówek i kupili maciorę, która im śliczne dawała prosięta, koło których Zośka tak dobrze chodzić umiała, że rosły jakby na drożdżach. Tak zatem przez sześć lat szło im wszystko ku lepszemu i prawie zapomnieli o krzywdzie wyrządzonej przez Filipa. Ten także zdawał się o tem nie pamiętać zupełnie; lecz któż kiedy zdoła uciszyć na długo wyrzuty sumienia? Słowa matki Tomasza, że i umarli czasem wracają, by dać prawdzie świadectwo, przyczepiły się do myśli Filipa, jakby nieprzymierzając kolce łopianu do sukmany; lecz prędzej wszystkie kolce i szyszki z wełny wyplątać, jak grzesznemu sumieniu pozbyć się myśli, co je trwoży. Filip gdy się zbliżały Zaduszki, w każdem stuknięciu, w każdym odgłosie przypadkowym już domyślał się szczególnego jakiego zjawiska, to jest duszy Pawła, która się o własnosć dopomnieć przyjdzie, a już w nocy z pierwszego na drugi listopada, to już zgoła wcale spać nie mógł. Drżał i pocił się ze strachu, jednak gdy dzień nastał i jemu tak łatwoby było od tego strachu uwolnić się na zawsze, to przecież ani

nie pomyślał o zwróceniu krzywdy. Tak już nawykł do dostatków swoich i tak się do nich przywiązał, że zdawało mu się, jakoby nie przeżył, gdyby mu co z nich ubyło. Ciągle tylko myślał o nowych zalotach, bo się zawsze dotąd do młodziutkich udawał dziewczyn, a te mu dawały odkosza. Więc też teraz się zbierał do wdówki statecznej wiekiem, i bogatej, a że sam dziedzic go swatał, więc już był pewien swego. Lecz nastał rok ciężki: susze były okropne, w polu wypaliło ze szczętem, zaczął się pomór nie tylko na bydło, ale i na ludzi. Tomaszowa wkrótce zapłakała nad stratą obydwóch krówek swoich; za niemi poszła jałoszka, a z nią wszelka przychowku nadzieja. Stare zboże już wyszło, nowego ani się doczekać, a tu w okolicy szerzy się straszna cholera i tem łatwiej zabiera ze świata tych, co zdrowego nie mają pożywienia. Biedna Zośka już spódnicę swoję najlepszą zastawiła, żeby dzieciom kaszy kupić, a do tego jeszcze mąż jej zapadł na taką okropną gorączkę, że leżał bez pamięci i czucia. To już było nad siły Zośki, pierwszy raz zapłakała gorzko nad swoją dolą. Lecz że była zawsze prawdziwie nabożna, wkrótce jéj też przyszło i opamiętanie. Pomyślała, że trzeba sobie radzić, a nie rozpaczać, i wziąwszy najmłodsze dziecko na rękę, poszła pomówić z księdzem proboszczem, coby dać choremu mężowi. Usłyszała od niego słowa pociechy i dostała dla Tomasza jakiś napój chłodzący. Wracajac z lepszą w sercu otuchą, uklękła pod figurą ukrzyżowanego Chrystusa, co stała wśród gęstych krzaków, na drodze między wsią a plebanią; tam modląc, się wypłakała wszystkie swoje żale i zapewne niejedno słowo głośniejsze z jej piersi się wyrwało. Powstawszy z ziemi już odejść chciała, kiedy niespodzianie zobaczyła wychodzącego zza krzaków dziadka, niezbyt starego jeszcze i prosto się trzymającego, który rzekł do niéj łagodnie:

— Czego płaczecie kobieto? taka młoda i już tak żałobliwie płaczecie!

— Alboż to bieda czeka, aż się kto postarzeje, żeby dokuczyć? odpowiedziała Zośka, ocierając oczy fartuchem. Człek jak się przed Bogiem wypłacze, to mu i lżej.

— Cóż wam to za bieda dokuczyła, czy nie macie ojca, matki, męża?

— Sierotać ja, sierota odmaleńka; tatula na oczy nie widziałam, bo go wzięli do żołnierzy zaraz po mojem urodzeniu, matka w kilka lat umarła, a mężysko poczciwe, który mie wziął ubożuchną bez wiana żadnego, teraz mi oto straszliwie choruje.

Nieznajomy milczał, wpatrując się dziwnemi oczyma w twarz Zośki.

— Dokądże was Pan Bóg prowadzi, zapytała Zośka zasępiona przypomnieniem swoich kłopotów; może do Rudy?

— A tak, do Rudy.

— No, to jeśli wasza wola tam nocować, nie mijajcie Tomaszowéj chaty.

— Bóg zapłać! dobra kobieto — a jakże was nazywają?

— Mnie? Zośka Tomaszowa.

— Córka Pawła? zapytał, wahając się ze wzruszeniem podróżny.

— A tak, ale zkąd wy wiecie?

— Bo ja tu z tych stron i kiedyś o waszym ojcu słyszałem. Idźcie z Bogiem kobiecino, kiedy tam na was w chacie chory mąż czeka i miejcie nadzieję w Pannie Najświętszej. Ja jutro najdalej do was zajdę, kiedyście mnie w gościnę zaprosili.

Szła tedy sobie Zośka drogą, a zaraz we wsi obstąpiły ją kumoszki z wiadomościami, że się straszne dzieją rzeczy, że kilka osób w dniu dzisiejszym w parafii umarło na cholerę, ale że dziedzic, aby ludzi nie przestraszać, kazał ich chować w nocy.

— Któż umarł? nie wiecie, pytała wystraszona Zośka.

— Antek parobek dworski, a ponoć tak że najmłodsza córka Filipa.

— Kachna? zawołała Zośka z żalem i pośpieszyła do chaty zobaczyć, jak się jéj chory miewa i dać mu przyrządzone przez księdza proboszcza lekarstwo.

Tymczasem noc zapadać zaczęła, piękna noc letnia przepełniona wonią łąk kwitnących, oświetlona promieniami księżyca. Chaty wiejskie stały sobie cichym rzędem po dwóch stronach drogi sadzonej, jakby w nich wszyscy a wszyscy spokojnego snu używali, gdy tymczasem choroba i śmierć wyciskała w jednéj z tych siedzib ludzkich łzy żalu i cierpienia.

Od Filipowego podwórka otwarły się wrota i z téj chaty, w której jak mówiono zwykle,

mieszkał szczęśliwy bogacz, wyniesiono na zaprzężony wóz białą trumienkę. Wyraźny dowód, że nie ma tak szczęśliwego na ziemi, któregoby nie dosięgła ręka sprawiedliwości Boskiej. Wóz z trumną potoczył się zwolna ku probostwu, zkąd wyszedł ksiądz z wodą święconą. Po odmowionéj modlitwie, Filip na konie zawołał przytłumionym i znękanym głosem i wóz ruszył znowu, a za nim szli tylko organista i grabarz. Na wzgórzu, o staje drogi widać było bielejący mur cmentarza, wśrod którego wznosiła się kaplica dawnego dziedzica i kilkanaście krzyżów czerniało. Gdy pochód żałobny do bram wiecznego spoczynku dosięgnął, już północ była blisko, lecz o tem dzisiaj żałością pognębiony Filip nie myślał. Zdjął z wozu wraz z grabarzem trumnę najmłodszego swego dziecka i spuściwszy ją do przygotowanego dołu, jeszcze przysypywał ostatnią garścią ziemi, kiedy już grabarz z organistą wyszli poza bramę cmentarza. Filip niebawem podniósł głowę i zobaczywszy się sam jeden wśród mogił gęsto wznoszących się wokoło, zadrżał i z przerażeniem zwrócił oczy w stronę, w której był grób Pawłowej, — aż oto o! straszne dziwy, zza tego miejsca ukazuje się postać, która okropnym woła na niego głosem:

— To Ty Filipie? a cóżeś robił z dzieckiem mojem?

Filip chciał krzyczeć, ale mu głos zamarł w piersiach, chciał uciekać, ale go coś silnie przytrzymało za połę sukmany; więc już myślał, że przyszła na niego ostatnia godzina i zdrętwiały od strachu padł jak długi na ziemię.

Domyśliliście się już zapewne, że ta postać ciemna na grobie Pawłowéj, to był mąż jej, co po wysłużonym czasie szczęśliwie z wojska powrócił; był to ten sam dziadek, co rozmawiał z Zośką przy figurze, a który dowiedziawszy się wszystkiego na wsi, zasłyszawszy tak że o nowym pogrzebie, poszedł na grób żony, żeby tam zobaczyć Filipa i podwójnie go za jego oszustwo ukarać. Jednak rzecz dziwna! myśl wynagrodzenia krzywdy nigdy mu nie przyszła, aż dopiero wtedy, kiedy śmierć w oczy zajrzała i kiedy przed nim stanął ten, przed którym zapierać się nie było sposobu. Jakoż po kilku dniach przyszedłszy do siebie, upokorzony i nawrócony, podzielił się jak należało dobytkiem swoim z Pawłem; Tomaszowie osiedli wraz z ojcem na gospodarstwie i dostatek podtrzymywany ciągłą pracą, zagościł pod ich dachem. Przebaczyli zupełnie Filipowi, lecz jemu już nie zabrało się na długie życie, bo cherlał wciąż i cherlał aż do jesieni, w której mu na koniec przyszło. Tak to używanie cudzego dobra nie idzie w pożytek, a zgryzoty sumienia więcej zdrowia strują, niż dobre mienie uraduje.

Wiadomość o wzniesieniu kościoła w Kobryniu.

Miasto powiatowe Kobryń leży ponad brzegami rzeki Muchawca, o 6 mil od Brześcia Litewskiego, z którym go łączy bity gościniec. Wojna r. 1812 dotknęła go wielką klęską tak, że nietylko spłonęła większa połowa domów, ale nadto świątynie Pańskie, których było kilka, uległy zupełnemu zniszczeniu. Samo miasto po wojnie stopniowo odbudowało się, ale co do zgorzałych kościołów, place, na których stały, zostały zorane lub wzięte pod inne budynki. Kościoła zatem w Kobryniu bardzo długo nie było. Zbudowana tymczasowo na cmentarzu kapliczka, bynajmniej nie odpowiadała potrzebie służby Bożéj, aż do czasu przeznaczenia na proboszcza w Kobryniu księdza Antoniego Kisielewskiego, dotychczasowego wikaryusza w Święcianach. Czem był ks. Bodouin założyciel szpitala Dzieciątka JEZUS dla Warszawy, czem siostra Klara dla Sulejowa, tem Ks. Kisielewski dla parafii Kobryńskiéj. Cichy, potulny, nabożny, ubogi przywędrował na miejsce swych obowiązków o kiju nieledwie, wiedząc o tem, co zastanie na miejscu, z zamiarem wzniesienia świątyni Pańskiej. Sam ubogi, mało potrzebujący, wszystko co miał, dołożył do zbieranego grosza. Z kijem w ręku i kwestarską puszką przebiegał okoliczne wioski i dwory, i żebrał ciągle przez lat kilka, narażając się z jednej strony na niewygody, słoty i upokorzenia, a z drugiej na szyderstwa obojętnych i niewierzących w to, ażeby ubogi, cichy ksiądz mógł przyprowadzić do skutku rzeczy prawie niepodobne. Pokora była mu tarczą, a rozum i modlitwa skrzepieniem czasami upadającego ducha. I rzeczywiście fundusze na budowę

kościoła i chleb dla biednych mnożyły się w ręku Ks. Kisielewskiego jakby cudem, tak dalece, że w niedługim czasie czwarta część potrzebnego funduszu już została zebraną. Z tym funduszem Ks. Kisielewski na wyznaczonym przez władzę placu, natychmiast przystąpił do rozpoczęcia fabryki, i dzień 1 Lipca 1841 roku był dniem położenia węgielnego kamienia dla mającego się murować kościoła. Po rozpoczęciu fabryki jeszcze dużo trzeba było znieść Ks. Kisielewskiemu. I tutaj łaska Boska czuwała nad pokornym sługą ołtarza. Często ksiądz Kisielewski nad wypróżnioną kassą stał zamyślony i milczący, często i zwątpił o dobrym skutku, a czasami i przerywał dla braku funduszów zaczętą robotę; zawsze jednak w podobnych razach nagła, niespodziewana przychodziła mu pomoc, i kapłan promieniejący z radości biegł znowu po robotnika i dźwigał kościół coraz wyżej. Opowiadają między innemi, że raz Ks. Kisielewski siedząc nad rachunkami funduszów, w bardzo złym stanie będących, wziął się oburącz za głowę i zaczął rzewnie płakać, bo w kassie nie było nawet na zapłacenie dotychczasowego robotnika, a więc o dalszéj fabryce ani podobna było myśleć. Patrzał błagalnie na obraz Chrystusa i płakał jak dziecko, gdy do drzwi w téj chwili właśnie zakołatał ktoś ostrożnie.

— Kto tam? zapytał kapłan.

— To ja, proboszczu, wyrzekł dziad kościelny, — jakiś pan, widać z Polesia chce się z jegomością zobaczyć.

I niedługo dziad kościelny i szlachcic weszli do komnaty. Szlachcic był już siwego włosa skłonił się do kolan proboszczowi, odpiął trzos, położył na stole i zabierając się do wyjścia, mówił.

— Dwa tysiące złotych składam na chwałę Bożą; przerachuj księże proboszczu, czym się nie omylił, bo człek już i niedowidzi i nie dosłyszy, a niepiśmiennym, to i łatwo się omylić.

Podróżny po tych słowach wyszedł. Zdumiony Ks. Kisielewski z radości śmiał się, płakał i jak sam mówił, te kilka chwil do najszczęśliwszych w jego życiu należało.

Aż z niewymowną radością kapłana i parafian, dnia 15 Sierpnia 1845 r. przy licznej assystencyi przybyłego z okolicznych miejsc duchowieństwa, odbyło się poświęcenie nowo-wzniesionego kościoła w Kobryniu, pod wezwaniem, jakie służyło dawniej dla tutejszej fary: *Wniebowzięcia N. P. Maryi*. Z wielką uroczystością wprowadzone doń z ostało *Sanctissimum* i pierwsze nabożeństwo. Ołtarze i niektóre wewnętrzne ozdoby, z dozwolenia wyższéj władzy użyte zostały z dawnego kościoła księży Cystersów w Olizarowym Stawie (pow. Kobryńskim).

Na tem jednak nie koniec. Taż sama ręka, która z niczego jakby cudem po tylu latach oczekiwania dosyć udatną i obszerną wzniosła świątynię, obrane na ten cel miejsce nieco za miastem przyozdobiła dość rozległym i wcale pięknym, po większej części z samych dzikich drzew złożonym ogrodem, zmusiwszy usilnem staraniem i cierpliwością, że lotne i puste przedtem piaski przemieniły dziś się w piękny gaj i miłą oku murawę. Niedaleko od kościoła zbudowanym został drewniany dom na szpital dla ubogich starców i kalek, i drugi takiż dom na parafialną szkółkę, gdzie obecnie kilkudziesięciu uczniów pobiera nauki.

Miejsce wiecznego spoczynku obwiedziono murem i wzniesiono katakumby, z których dochód stanowi jedyny fundusz szkółki na utrzymanie w niej dzieci uboższych rodziców.

Pokończywszy te wszystkie więcej naglące fabryki, i nie ustając pomimo to w ciągłem przyozdabianiu świątyni, oraz zaopatrywaniu zakrystyi w potrzebne apparata, ku czemu także własnoręczne prace pobożnych parafianek nie w jednem się przyłożyły, umyślił także ks. proboszcz dźwignąć z muru na miejsce lichej i upadającej, piękną i obszerną plebanię, którą także w dość prędkim czasie ukończył.

Na pobłogosławienie tych nieustających prac, nieodłącznych przytem przykrości i zawodów, zesłał mu Bóg Najwyższy pociechę przyjmowania w nowo ukończonych murach owczesnego Biskupa Dyecezyi Wileńskiej JW. Żylińskiego, obecnie Metropolitę wszystkich kościołów katolickich w Cesarstwie, który zjechał tu na dniu 29 Lipca 1850 r., nazajutrz dopełnił konsekracyi kościołów i przez dni kilka rano i po południu mnogim tłumom wiernych, przybyłych z różnych stron na tę uroczystość udzielał Sakramentu Bierzmowania. Kiedy kościół, szpital, szkółka i plebania stanęły, i jakby cudem wyrosły z ziemi, ks.

Kisielewski wziął się dalej do dzieła, to jest mając kościół, zagrzewał parafian swoich do cnot chrześciańskich; mając szpital, zbierał doń chorych i kaleki, i sam najczynniejszą wszystkim niósł usługę; mając szkółkę, zbierał do niej młodzież mieszczańską i wieśniaczą i nauczał najprzód sam jeden, a potem wspólnie z dodanym mu nauczycielem.

Tak było do r. 1855. Kościół wyglądał jak świecidełko, ze szkółki corocznie wychodziło kilkunastu chłopczyków, umiejących chwalić Boga, czytać, pisać, rachować, szpital miał lekarza i felczera, a cała parafija ojca i doradcę.

Ks. Kisielewski zawsze jeden i ten sam, dla siebie potrzebował mało, na korzyść bliźnich obracał wszystko prawie. W miesiącu Lutym t. r., jakaś nagła i konieczna potrzeba sprowadziła wydatek nad możność Ks. Kisielewskiego, tak że, nie tylko wydał na nią wszystkie posiadane pieniądze ze składek, ale nadto zmuszonym był zastawić jedyne futerko, otrzymane w darze. Wypadł w tym czasie pogrzeb jakiejś staruszki. Ponieważ była to za życia jedna z najczynniejszych ofiarodawczyń na korzyść kościoła, proboszcz w jednej sutannie i komży wyszedł na spotkanie jej ciała za miasto, wśród słoty i dokuczliwego zimna. Zmartwiony i przeziębły powrócił do plebanii z zarodem ciężkiej choroby, która go w kilka dni zabrała z tego świata. Jak bolesne przerażenie ogarnęło wszystkich parafijan, wypowiedzieć niepodobna.

Płacz mnogich sierot, któremi się opiekował i łzy wszystkich obecnych towarzyszyły pogrzebowemu obchodowi; żal ten i łzy skrapiając jego mogiłę, były wyrazem czci i wdzięczności, na jakie najsłuszniej nieodżałowanej pamięci zmarły kapłan zasłużył. Zwłoki księdza Kisielewskiego pogrzebane zostały w kościele, około bocznego ołtarza Śgo Antoniego.

Życiorysy kmieci.

(Patrz n. Cz. 49.)

6. Maciej Stachelski.

Stachelski jesz czynszownikiem z powiatu Olkuskiego ze wsi Gołonoga. Rodzice wcześnie go odumarli, zostawiwszy kilkoro dziatek pod opieką Macieja Stachelskiego, który obecnie liczy lat 29 wieku. Osada czynszowa, na której zaczął gospodarować, składa się z dziesięciu morgów gruntu. Grunt ten obok domu, przy zmianie pańszczyzny na oczynszowanie z działu mu przypadły, był staremi dzikiemi drzewami zarosły, kamieniami pokryty, dołami zapadły. Objąwszy opiekę nad młodszym rodzeństwem, dla którego przy pomocy swej cnotliwej żony jest drugim ojcem, ufając w pomoc i opiekę Bożą, wziął się szczerze i z zapałem do pracy. W przeciągu dwóch lat wszystkie pniaki wyrudował, doły urodzajną ziemią zasypał i całą tę kolonię w piękny ogród zamienił. W miejscu, gdzie dawniej chwasty rosły Stachelski zbiera bujne zboża i piękną koniczynę. Nie znajdziesz tam kamienia, bo go wywiózł na poprawę drogi publicznej, cały grunt swój jako troskliwy gospodarz wybornie pod zasiew sposobi, wszędzie, gdzie rzucisz oczyma, czystość, ład i porządek, a nawet troskliwość rzadka i niesłychana w naszym kraju dotąd, w upięknieniu całej osady.

Tak pracą usilną z gruntu jałowego, odstraszającego brzydką powierzchownością, nagiego, stworzył Stachelski tak piękną siedzibę wiejską, że przejeżdzający zatrzymują się przy niej, aby nasycić oczy ślicznym obrazkiem tej osady sielskiej, w której obok wybornej uprawy gleby, bujnego zboża, zabudowania, ogrodu i zasadzonego drzewa, całość stanowi dziwnie uroczą siedzibę rolniczą.

Ksiądz Gąsiorowski pleban miejscowy tak go nam w domowem pożyciu maluje:

„Człowiek ten, jest obrazem prawdziwego chrześcjanina, i dlatego też u całej gromady włościan ma wielkie poważanie i zupełne zaufanie. W niedzielne dni po południu zgromadzają się do niego włościanie, natenczas Maciej Stachelski odczytuje im z książek odemnie pożyczonych i z *Czytelni Niedzielnej* różne ustępy, odwodząc od nałogowego pijaństwa, a zachęcając do oszczędności i pracy w rolnictwie.“

Wdruk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 24 listopada (6 grudnia) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.